

Rumunia-maj 2010

Po obejrzeniu prognoz dla Levico, w którym to mieliśmy się znaleźć razem z Piotrem B. zapadła decyzja odpuszczamy urlop. Jednak po kilku telefonach zdecydowaliśmy się na partyzancki wyjazd do Rumunii. Skontaktowałem się z Kartonom-kołesiem z Wrocławia, bo widziałem jego ogłoszenie na grupie, że się tam wybiera. Dogadaliśmy się gdzie mniej więcej się udajemy i jeśli się uda spotkamy się gdzieś na trasie. Jak się później okazało, grupa Kartona dobiła do nas dopiero w Rumunii późnym wieczorem. Chrząższcu był cały czas w kontakcie z grupą z Beskidu Wyspowego, którą również jak my wybrała się na eksplorację Rumunii. Generalnie podróż przebiegała bezproblemowo. Granice węgiersko-rumuńską przekroczyliśmy w okolicach miasta Turnu w Rumunii, jakieś 20km na WWN od dużego miasta Arad.

I tu trochę praktycznych rad: w Rumunii wymagana jest winieta, na tydzień kosztuje 3E (my zapłaciliśmy 5E bo nie mieliśmy drobnych a oni wydać :) i kartą nie można było zapłacić). W przeciwieństwie do Węgier gdzie płatność za winietę karta była normą (koszt winiety na 5 dni jakieś 23zł po przeliczeniu). W Rumunii oczywiście honorowane jest polskie prawo jazdy, do przekroczenia granicy potrzebny jest tylko dowód i wbrew wcześniejszym plotkom nie trzeba mieć zielonej karty, wystarczy polskie OC.

Po wjeździe do miasta Arad obrazek, którego się obawialiśmy a którego jednocześnie nigdy więcej nie zobaczyliśmy. Na światłach żebrające dzieci, podchodzące do każdego samochodu. W Aradzie nie bardzo wiedzieliśmy co robić, byliśmy sami, nie wiedzieliśmy gdzie jechać. Po przekroczeniu widzieliśmy reklamę jakiegoś campingu, później widzieliśmy ją kilka razy. Na stacji benzynowej kupiliśmy mapę, która jak się później okazało, budziła podziw nawet miejscowych. Postanowiliśmy jechać w góry niedaleko Aradu kierując się na miasteczko Lipova. Po drodze znowu spotkaliśmy reklamę campingu i tam postanowiliśmy rzucić kotwice. Po dojechaniu do campu na moim liczniku widniała liczba 1150km. Camping znajduje się w miejscowości Minis (ostatnie "s" w nazwie jest z takim ogonkiem jak w polskim "ę"). To mała wioska a raczej zespół wiosek przedzielonych tylko znakami z ich nazwami. Współrzędne campingu (46.133535, 21.598841), właścicielem jest Rumun, który dobrze mówi po angielsku. Miejsce jest czyste i bezpieczne. Cena za osobę/dobę bez prądu jakieś 5,5E. Prysznicze czyste, gorąca woda i co ważne, bezpłatny bezprzewodowy Internet. Jakies 2km na północ jest wioseczka w której znajduje się bankomat. Aaa, w Rumunii jest Leja, którą można przeliczyć 1L=1PLN a ceny jak w Polsce (chleb 1.5L, pomidory 5L, konserwa 3,5L, piwo 2,5L, pizza 10L, obiad z piwem 16L, waha tyle samo co u nas i żadna tam gnojówka).

A teraz trochę o miejscu do latania.

Startowiska znajdują się na charakterystycznej górze z ruinami zamku w miejscowości Siria. Jadąc od strony Minis należy za szkołą, która wygląda jak kościół skręcić w prawo w szutrową drogę (współrzędne miejsca w którym należy zjechać z asfaltu 46.259683, 21.632748) a później wjechać samochodem ile się da. I tu uwaga: ekipa z Wrocławia wjeżdżała na sam szczyt ale mieli terenówkę, krakowiacy wjeżdżali do miejsca w którym dalej się nie dało ale mieli przygodę w postaci wybitej szyby od kamieni spod kół samochodów, które próbowały wjeżdżać do góry. Ciekawostką jest fakt, że samochód z wybitą szybą stał pół dnia na dole górki i mimo, że były w nim jakieś rzeczy, które można było ukraść, nic nie zginęło. Ja osobiście zostawiałem samochód niżej, w cieniu i w miejscu w którym nie groziły mu odłamki.

Po pozostawieniu samochodu na dole czeka jeszcze podejście. W zależności od startowiska od 2 do 2,5km, jakieś 300metrów w pionie. Dla mnie (i nie tylko) katorga. Trzeba liczyć jakąś godzinę podejścia. Na zamku jest zainstalowany wiatrowskaz.

Startowiska są dwa, choć może i dałoby się polatać przy kierunku zachodnim. Pierwsze (wsp.

46.266162, 21.658247) i obok drugie (wsp. 46.266029, 21.660537) na kierunki południowe. Lądowisko na dole mniej więcej w połowie podejścia pod górkę.

Idąc przez lasek odchodząc od zamku w kierunku wschodnim, mija się wierzę z antenami i dociera do trzeciego startowiska na kierunki północne (wsp. 46.265626, 21.66539). Lądowisko to łąka. Myślę, że możliwy jest też start spod zamku (wsp. 46.266152, 21.656249) na jakiś zachodni kierunek, ale pewny nie jestem bo nikt jak my byliśmy tego nie próbował. Generalnie miejsce fajne i myślę, że ma potencjał. W dniu, w którym przyjechaliśmy do Rumunii, odbywały się na tej "górcie" mistrzostwa Rumunii. Jest też w Internecie track na którym widać jak koleś poleciał z tego miejsca do Serbii. Nam niestety pogoda nie dopisała i latanie polegało na wiszeniu na termicznym żaglu lub zlotach.

Siedząc w knajpie na obiedzie poznaliśmy miejscowego, tzn. może nie miejscowego ale Rumuna, który lata. Na mapie zaznaczył nam kilka miejsc do latania w Rumuni i opowiedział trochę o Siri. Mówił, że ta górką jest specyficzna i, że czasami prognozy mówią iż się nie da, a się da i się lata. Po prostu trzeba wchodzić na górę jak nie pada i obserwować co się dzieje. Na marginesie fajny koleś, mówił dobrze po angielsku, zostawił nr tel i maila do siebie. Myślę, że się nie obrazi jak podam jego namiary; Dorin Paslaru dorin(malpa)paslaru.org. Chętnie służył pomocą, jak nie mieliśmy neta wysłał prognozy itp. Tu jego foto <http://picasaweb.google.pl/donned/Rumunia2010#5469671938355631938>

(ten koleś w środku).

Po nocy w której zostałem porwany przez ufo i nie chodzi o UfoTeam, postanowiliśmy się przenieść w inną część Rumunii. Nasz wybór padł na rumuński Ciechocinek czyli Feliks koło miasta Oradea. Camping jak za czasów Gierka choć np. wejście na teren kempingu czy do łazienek wymagało przeciągnięcia lizaka z kodem kreskowym. Byliśmy tam tylko jedna noc. Następnego dnia pojechaliśmy w wysokie góry. Namiary podał nam niezawodny Dorin. Przejechanie 80 km kosztowało nas 2 godziny i prawie mandat. Po wyjechaniu z Feliksa zatrzymała na rumuńska policja. Facio coś do mnie zagadał ale kiedy zobaczył, że jestem "niemiec", zaczął zagadywać po angielsku. Powiedział mi wtedy, że jestem "very fast driver" i że mają 50km w "city". Wziął dowód, prawko, papiery od samochodu (o dziwo nie chciał winiety) i poszedł. Nerwowe oczekiwanie i gdy przyszedł z powrotem powiedział, "don't worry, be happy" i kazał jechać dalej. Udało się. :))) Udało się, ale dobrze nie było. Dziury w krajowej drodze były takie, że po przejechaniu tej trasy mógłbym startować w slalomie gigancie. Czasami było tak, że trzeba było się zatrzymać, żeby ominąć dziury i przejechać dalej. Po dwugodzinnej jeździe dotarliśmy do startowiska. Tyle tylko, że startowisko miało trochę inne współrzędne od tych jakie podał Dorin albo znaleźliśmy inne startowisko. Współrzędne, które podał Dorin (46.68799, 22.58652), natomiast to które my znaleźliśmy (46.67888, 22.57160). Na "naszym" były icki i było uprzętnięte (trawa skoszona). Do startowiska Dorina nie dotarliśmy. Teoretyczne kierunki startów: S, SW, lądowanie w dolinie ale trzeba uważać na linie wysokiego napięcia. Nie wyjeśliśmy tam nawet glajtów bo nikogo nie było a zającowanie w takim miejscu mogło się skończyć rumuńskim szpitalem. Chcieliśmy zostać w miejscowości Stana de Vale na noc, ale camping okazał się... no właśnie ciężko to nawet nazwać. Rozpieprzone budy z dykty z ogólnym syfem, bez łazienek i bieżącej wody. Odpuszczamy i decydujemy się jechać na Węgry...

Podsumowując:

Rumunia to piękny acz biedny kraj, ludzie mili i często mówią po angielsku. Dobrze nastawieni do Polaków. Trzeba mieć uwagę na rumuńskich cyganów i dziury w drogach.

Rumunia maj 2010

Wpisany przez marcin
Wtorek, 25 Maj 2010 19:08 -
